

ROZMAITOŚCI.

N^{ro}. 41. dnia 13. Października 1824.

BIAŁY BARANEK, I CZARNY NIEDŹWIEDŹ.

(z Niemieckiego Ernesta Houwalda *)

Oberzysta. Czy poświęciłeś temu Panu, Wincenty?

Wincenty. Poświęciłem oycze!

Ober. Nicze ci nie powiedział?

O nic się nie pytał?

Winc. Chce jutro rano mieć śniadanie o godzinie piątej, ponieważ oszós-tę odieżdża.

Ober. To dobrze, donieś o tém w kuchni. Jednak, o nicze się nie pytał? nie podziwiałże się nad naszą piękną, nową oberzą?

Winc. Nie, nic nie mówił, ale pokoje, to chwalił.

Ober. To dobrze, nie mogę cierpieć tych ludzi, których wszystko zadziwia, człowiek nie wie nie raz, co im odpowiedzieć. — Ale o cóżto ia pytałem się? — Więc nie zastanawiał się nad niczém?

Winc. Nad niczém, iuż raz powiedziałem.

Ober. A zatem póydziemy teraz sobie spać spokojnie.

Winc. Nie, ia nie póyde spać tak osuchém gardle. Wy Panie oycze macie tam w szafie nadpoczętą butelkę wina, mnie ią daycie, bo skwaśnieie przez noc.

Ober. Bóg z tobą chłopczel! czy zawsze tylko radbyś pił wino! Czy nie

zrobiżem cię markierem, nie sprawiżem ci nowego zielonego fartucha? he — czy nie pobierasza od gości oprócz tego za usługi — Jakto? i ia ieszcze mam ci dawać wina, kiedy ci się zechce?

Winc. Powinniście dawać oycze, alboż nie zasłużyłem? Co wam do moich pobocznych dochodów! ciężéy przychodzi mi zarabiać na nie, niżeli wam na tak piękną oberzę.

Ober. Milcz chłopcze.

Winc. A oprócz tego powinniście dawać mi wszystko, co mi się podoba, wszakżeście mi to przyrzekli, czy nie pamiętacie?

Ober. Ależ ciszény mów głupczel! Ty wiesz, że ia tylko żartowałem. Po-day szklanki, wypiiemy tę butelkę.

(Wincenty podaje szklanek.)

Ober. Patrzay, znowu byłeś na wiśniach i nie obmyłeś sobie rąk! masz wszystkie palce czerwone. Pfe, to widok obrzydliwy! Ja nie mogę cierpieć plam czerwonych.

Winc. Sądzicie może, że to krew? To wy nie możecie się na krew patrzeć?

Ober. Czy chcesz, ażebyś co oberwał? dosyć tego, idźże mi zaraz i obmyj sobie ręce.

(Wincenty idzie mrużąc i myje sobie ręce, oberzysta stawia na stoliku szklanki i butelkę.)

Ober. Póydz tu Wicusiu! Jesteś dobrym chłopakiem, no piyże! — Zai-iste! szklanka wina lepiéy smakuie, iak dawniéy to kwaśne piwsko.

Winc. (piąc.) To się rozumié! i dobrze, że człowiek tak łatwo do wina się przyzwyczai. Przed trzema laty, kiedy stała ieszcze nasza nędzna karczma,
)

*) Autora sławnéy Trajedyi: Obras (Das Bild).

wtedy nawet nie znałem zapachu wina, a teraz —

Oberzysta. Naturalnie teraz! — w takich oberzach iak nasza, wszystko idzie inaczej. Co to był za dymnik, nasza dawna karczma, a tutaj, te piękne pokoje i te duże okna. —

Wincenty. Aż nadto duże, zbyt wiele wpuszczają światła, szkoda, że tu niema iakiego ciemnego zakątka, gdzie możnaby sobie ukradkiem potrzyć twarz, gdy iakie zawczesne słówko wymknie się, a człowiek zblednieie.

Ober. Nie potrzeba trzyć twarzy, wtedy weź chustkę, zakryj twarz i powiedź, że ci krew idzie z nosa.

Winc. Krew z nosa? — Wszak wy oycze nie lubicie na krew patrzeć.

Ober. Czy ty będziesz milczał?

Winc. A co mi się naybardziej na téj oberzy nie podoba: to godło. —

Ober. A to dla czego? Ten czarny niedźwiedź kosztuje mnie 25 ZR.

Winc. Dla tego właśnie nie podoba mi się, że to czarny niedźwiedź. Dawniey nazywała się nasza gospoda pod białym barankiem! — Dla czego odrzuciliśmy baranka, a na iego miejsce zawiesili tego wielkiego niedźwiedzia z czerwoną paszczą? Gdy się na niego popatrzę, zawsze zdaie mi się, iak gdyby mnie kto pytał: Czy niedźwiedź pożarł baranka? Coż na to odpowiedzieć?

Ober. Nic nie odpowiedziałwszy, odéść. Nie należy ci myśleć o takich głupstwach. Nie patrz się na niedźwiedzia, a tak uwag unikniesz. No, piżel!

Winc. Nalécie mi jeszcze oycze! Dobrze zrobiliście, że za pieniądze ten dóm wybudowaliście. Dóm stoi, mocno w ziemię wryty, nikt go wam odebrać nie może, a pieniądze —

Ober. Ależ ciszej! Dóm stoi już dwa roki, o wszystkim zapomniano, rzadko już kto nawet dziwi się nad rapidownym wzrostem moiego szczęścia. Pieniądze wyświadczyły nam wiele dobrego, i jeszcze wyświadcza! cicho bądź o tém, trzymaj język za zębami! piy wino!

Niech naymniejsze słowo z ust twoich nie wychodzi; kochany chłopczel! ach! i ściany podsłuchują niekiedy.

Winc. O mnie się nie bójcie; ale co wy, to macie czasem niektóre dziwactwa. Dobrze to iednak, że matka wprzódy umarła, przy niéy nie byłoby się to ukryło.

Ober. O! twoja matka! Tak, tak, ona teraz już wysoko nad nami. Słusznie mówisz, dobrze się stało, że nie wiedziała o niczém.

Wincen. Gdyby była wiedziała, z nieba jeszcze krzyczałyby: biada!

Ober. Dla Boga! Chłopcze, czego tak krzyczysz? Przecież upamiętaj się. Niektórzy ludzie szeptaia sobie jeszcze do ucha: z kąd do tak wielkiego przyszliśmy majątku, a ty krzyczysz biada. Czemuż zawsze zwracamy rozmowę na takie tylko rzeczy! O! lepiéy napij się wina i idź spać.

Winc. Jakiś powóz zaiéżdża, zapewne ktoś obcy przyjechał.

Ober. Biegajże prędko, wprowadź tutaj gości! Noc teraz, więc nie obacz czarnego niedźwiedzia.

(Wincenty wybiega. Tymczasem oberzysta sprząta butelkę i szklanki, i zapala świecę. Wkrótce wprowadza Wincenty dobrze ubranego męszczyznę.)

Obcy. Dobry wieczór Panie oberzysto! Czy mogę u W Pana przenocować?

Oberzys. I owszém, i owszém! Wprawdzie zajechało już kilka pojazdów, ale i W Pan Dobrodziej znajdziesz jeszcze miejsce dla siebie. Zapewne dwa pokoje? Markier! pod Nrem. 5. i 6.

Winc. Bardzo dobrze.

Obcy. Jeżeli W Pan będziesz miał miejsce, radbym tu kilka dni zabawić.

Oberz. Zawiele honoru dla mnie idla moiego lichego domu. Lecz będę pokornie upraszał wymienić mi łaskawie swoje godne nazwisko, charakter i cel podróży.

Obcy. Czy W Pan tak ciekawy jesteś?

Oberz. Taki mamy rozkaz od Rządu.

Obcy. Zapewne w téj okolicy niebezpiecznie podróżować?

Oberz. Uchowaj Boże! lecz święta przezorność.

Obcy. I mnie także kazano być przezornym, czyniono mnie uważnym na tę okolicę, mówią, że tu ludzie znikają — przeto eiesz mi mocno, że takiéj używacie przezorności, mam tu bowiem interesa.

Oberz. To bardzo pięknie. Markier! papiéru i pióra.

Winc. (Przynosi ie obcemu, z cicha do oycy:) Oycze, czemu wy tak chustką twarz zasłanacie? Czy wam krew idzie z nosa?

Obcy. Tajemnice moje każdy ozłowiek wiedzieć może.

(Pisze.)

Nazywam się Oldenburg.

Winc. (Z cicha.) Oycze!

Oberz. Ol — Olden —

Obcy. Oldenburg, nazwisko znane, WVPan zapewne już o nié m sły-
szafes.

Oberz. Nic wcale.

Obcy. Jestem kupcem.

Winc. (Z cicha.) Oycze!

Oberz. Markier, odehydź. — Popatrz do kuchni, przynieś wina z piwnicy; Pan Olden —

Winc. Pójdzie ze mną, ia sam nie pójdę do piwnicy.

Obcy. Jadę z Petersburga.

Oberzy. (Do Wincientego nieco uspokojony.) Tak? — Słyszysz, że ten Pan z Petersburga.

Winc. No, to dobrze! Petersburg daleko!

Obcy. Jadę w sprawach famili-
nych.

Oberz. To dobrze, teraz tylko wymienić dokąd?

Obcy. Czy i to trzeba powiedzieć?

Oberz. Naturalnie. Policya żada o tém wiedzieć.

Obcy. Oby mi towarzyszył! —
Jadę do oberzy pod białego baranka.

Oberz. Czy tak? Pod czarnego niedźwiedzia? — chciałem powiedzieć: pod białego baranka.

Winc. (Z cicha.) Oycze! zakrycie sobie twarz chustką, usta wam drżą, mówicie błędnie.

Oberz. (Z cicha.) Milcz hultaiu. (Głośno.) Idźże mi zaraz pod Nmer. 4. i 5. nakryj do stołu, i pozapalay świece, Jegomość Dobrodziéy chce w swoim pokoju wieczerzać.

Winc. Już odchodzę (odchodzi).

Obcy. Nie pójdę ieszcze do moiego pokoju! Pozwolisz WVPan zgodzi-
nę tu ieszcze zabawić; WVPan здаiesz się być roztroprnym, pocciwym czło-
wiekiem, wiego domu wcale porządnie
wygląda, nie tak, iak w innych ustron-
nych gospodach, podobnych raczéy do
lochur rozbóyników.

Oberz. Tak iest, iestem pocci-
wym człowiekiem, i majątek mój ze-
brałem z pracy.

Obcy. Uważam to, i dla tego po-
kłada m w WVPanu zaufanie; musisz mi
poradzić.

Oberz. Zochotą!

Obcy. Szukam zginionego oycy.

Oberz. Zginionego oycy? gdzież
się podział?

Obcy. Ogdybym wiedział! Przed
trzema laty iechał tédy, otdąd nic nie
słyszeliśmy onim, i słusznie obawiamy
się, czyli okropną nie zginął śmiercią.

Oberz. Niech Bóg zachowa! Jak-
że się godny oyciec pański nazywał?

Obcy. Wszakże WVPan czytales,
że ia się Oldenburg nazywam, a za-
tém —

Oberz. Prawda, prawda, zapo-
mniałem! (wołając) Markier! gdzie téż
ten chłopiec się podział! Markier! przy-
nieś wina! Nie potrzebuiesz chodzie do
piwnicy, mam tu ieszcze w szafie bu-
telkę starego węgrzyna, Jegomość Do-
brodziéy żada wina, no, zwiliayże się!

Obcy. Nie trzeba Panie gospoda-
rzu, raczéy posłuchay mnie WVPan.
Oyciec mój był bogatym kupcem w Sa-
xonii.

Oberz. Jak to? Mniesięzdaie, że w Petersburgu?

Obcy. Nie, nie ón, ale ia tam mieszkam. Pisał do mnie przed trzema laty, że mnie odwiedzi, i że miznaczną summę przywiezie; lecz ani sam nie przyjechał, ani listu od niego nie odebrałem więcéy. Długo daremnie czekałem na niego, aż nakoniec trwogą miotany postanowiłem udać się w podróż. Ależ omóy Boże! oycza i w domu nie było, sądzili, że był u mnie w Petersburgu. Zginął na wieki, teraz iadę i szukam szladu o nim. Radź mi, pomóż mi WVPan, nie będzie to ziego szkoda.

Oberz. Z moią szkoda? iakto z moią szkoda?

Obcy. Tym gościńcem iechał mój oyciec! Jadę za nim krok w krok, gdzie przybędę, wypytuię się i śledzę dopóty, dopóki nie dowiem się o nim, — przeto —

Oberz. Ale dzisiay już tak późno, północ nie daleko!

Obcy. Prawda, że przybywam za późno, chcąc go ratować, ale nie późno dla odkrycia szkaradnego czynu, który może o téy saméy nocnéy popełniono godzinie.

Oberz. Markier! wina! wina! (do siebie) nie iedną noc przepiłem, tak ona nayprędzéy upływać zwykła.

(WWincenty przynosi wina, a oberzysta naléwa dwie pełne szklanki.)

Oberz. Piy WVPan Dobr. proszę; iest to stary dobry węgrzyn!

Obcy. Day WVPan, byłto ulubiony oycza moiego napóy. Czy téż ón przed trzema laty z tego samego pił gatunku!

Winc. Nie, my go dopiero mamy od roku.

Oberz. Milcz bałwaniel!

Obcy. Co WVPan, to zapewne już długi mieszkasz w téy oberzy?

Oberz. Od lat ośmnastu.

Obcy. Czy nie przypominasz sobie WVPan pewnego podeszłego człowieka, nazwiskiem Oldenburg, który przed trzema laty zaiechał do WVPana oberzy?

Winc. (zcicha.) Czy podobna, oycze!

Oberz. Od ostatniéy choroby mam bardzo osłabioną pamięć, kogo powtórnie nie obaczę, o tym zapominam.

Winc. (zcicha.) Dobrzeście powiedzieli oycze.

Obcy. WVPan masz zapewne książkę, do którój przyjeżdżających zapisujesz?

Oberz. Wtedy nie zapisywałem.

Obcy. Jakto wtedy?

Winc. (zcicha.) Oycze!

Oberz. Chciałem powiedzieć przed trzema laty; a iakże WVPan Dobr. wiesz, że oyciec iego tym gościńcem przejeżdżał? Wszakże wiele dróg iest z Saxonii do Petersburga.

Winc. (zcicha.) To było ieszcze lepiéy! Oycze!

Obcy. Nie mogę się mylić, pisał albowiem w podróży swoiéy z kilku mieysc do swoich krewnych. Ostatni list bez wzmianki innego mieysca datowany iest z oberzy pod białym barankiem. Gdzież iest ta oberza?

Oberz. Tu niéma żadnéy pod tém godłem.

Obcy. Wielu oberzystów zmieniać zwykło godła swoich oberzy, kiedy chcą, by o nich zapomniano, ale mam ia w iednym liście opisanie osób z pod białego baranka, może WVPan znasz tego oberzystę i będziesz mi umiał powiedzieć, czyli ieszcze żyje?

Oberz. Nie wiele znam osób, rzadko z domu wychodzę; mam dużo do czytania; oberzyści nie zwykli żyć z sobą w przyjaźni; napiy się WVPan Dobrod. wina i położ się spać, może sobie co przez noc o tym oberzyście przypomnę. Markier! światła!

Obcy. Dobrze, przypominay sobie WVPan przez noc, ale list, to muszę mu teraz odczytać, od tego nie odstąpię.

Winc. (zcicha.) Nie słuchaycie oycze, wyście nie zbledli, ale zczernieli.

Obcy. Między innemi rzeczami pisze mój oyciec: »Burza napadła mnie dnia dzisieyszego, musiałem zaiechać do

pewny nędzny karczmy, zwaný pod białym barankiem. Coś mi tu bardzo nie-miło, i radbym, ażeby iak nayprędzý dzień się zrobił. Oberzy-ta iestto czło-wiek otyły, ma czarne kręcone włosy i małe zdradliwe oczy.»

Winc. (z cicha.) Oycze!

Obcy. (czyta dalej.) »Syn iego, iestto brzydki rudy człowiek, przytém strasznie dzióbaty, nazywa się Win-centy.»

Winc. Wielki Boże! krew idzie mi znosa. (chce odéść.)

Oberz. Zostań tu, siadź w kącie i czekaj, aż ci krew iść przestanie.

Obcy. (czyta dalej.) »Dano mi pokoik na strychu i nędzne łóżko. List ten posęłam przez pewnego woźnicę, który téj nocy ieszcze odieżdża. Kładę się z Bogiem spać, oby was i mnie ochra-niał!« I cóż Panie oberzysto, nie znaszże WWPan tutaj takiego oberzystę, z ta-kim synem?

Oberz. Nie, nie!

Winc. Nie, nie!

Obcy. Mam z sobą dobrze tra-fioną miniaturę moiego nieszczęśliwego oycy. Czemuż nie mam obrazu owego oberzysty z pod białego baranka, wnet-bym go poznał! Patrzą WWPan na wy-obrazienie moiego oycy, oto iest.

Oberz. Nieznam się na malowa-niu; przecz z tym widokiem.

Winc. Ja także nie znam się.

Obcy. Co WWPanu? WWPana ręce drżą?

Oberz. Czasami dostaie drzenia, nie prawdaż?

Winc. Prawda, że mu często rę-ce trętwieją.

Obcy. Napiy się WWPan cokolwiek wina, to pomoże.

Oberz. Nie chcę ani kropli, iestem słaby.

Winc. Prawda, żeście pobledli iak ściana. Oycze! połóżcie się do łóż-ka. Ach! mój biedny oyciec!

Obcy. Więc to syn WWPana?

Oberzys. Jest to głupiec, Mar-kier.

Obcy. Popatrzcie się WWPan na ten obraz, nigdyż tych szanownych rysów nie widział? (trzyma mu przed oczami.)

Oberz. Panie, nie stawiaj mi te-go obrazu przed oczy! Chłopczę! nie patrz się na niego.

Winc. Pewnie, że nie będę.

Obcy. Czemuż was tak przeraża ten uymiający obraz? — Cóżbyście po-wiedzieli, gdyby ten człowiek, iak duch nocny, stanął przed waszem łóżkiem, z piersiami krwią zbroczonemi, z roz-trzaskaną czaszką i obudził was, iak mor-derców swoich?

Oberz. Co? my mordercy? — WWPan sądzisz, że ja i mój syn — Co WWPan o nas trzymasz? Co się WWPanu zdaie? Co WWPan chcesz od nas?

Winc. Uspokóycie się oycze! Po-łóżcie się spać, albo napiycie się wina! Uważam, że się wam słabo zrobiło, omal co nie upadniecie.

Oberz. Milcz, mnie często robi się tak słabo. Nieprawdaż Wwiciu?

Winc. Prawda, że wam często słabo się robi.

Obcy. Czy WWPana dzióbaty i ru-dy syn nazywa się Wincenty?

Winc. Dla Boga! oycze! to nie ia.

Oberz. Precz, precz, zaprowadź-cie mnie do łóżka.

Obcy. Jeszcze tylko kilka słów! Uważam, że WWPan iesteś rozczulony, uczuwasz nad moim losem! Ani wą-pię, iż mój oyciec zabity został od obe-rzysty z pod białego baranka, i od syna iego Wwinciego. Powiadano mi w pew-nem mieyscu z tąd nie daleko, że wła-snie wtedy znaleziono w lesie zamordo-wanego człowieka, głęboko ukrytego w krzakach i będącego prawie nie do poznania, tak dalece zmieniła go śmierć. Byłto zapewne mój oyciec. Byłem dzi-siaj u iego mogiły, leży przy drodze, naymniejsza trawka nie rośnie nanię, tylko iakaś pobożna ręka zatknęła krzyż na tym grobie z gałęzi suchego drzewa;

może WPan byłeś tym szlachetnym człowiekiem?

Oberz. Wielki Boże, zlituj się nademną! Czego ten człowiek chce ode mnie? Grób na drodze? Trawka na nim nie rośnie? Krzyż? Ja miałbym krzyż stawiać? Co WPan mówisz? Czego WPan chcesz?

Obcy. Jutro udam się znowu do tego grobu. Wy oba pójdziecie ze mną na to krwią zbroczone miejsce, pomożecie mi grób odkopywać. Wtedy ucałuję potrzaskane, atak drogie mi czoło, wezmę z sobą garść siwych włosów na pamiątkę, a wy będziecie świadkami tego. Nie prawdaż? że wy pójdziecie ze mną i pomożecie mi wyszukać oberzystę z pod białego baranka? Oto macie sześć złotych za waszą ku mnie przychylność, a oto jest krzyż, który z grobu z sobą przywiozłem; schowaycie mi go do intra.

Oberz. Wicusi! nie bierz tych krwawych pieniędzy, one ci ręce popieką. Oto krzyż, a nad nim baranek. — Trzymaj mnie Wicusi, ziemia chwile się pode mną, niebo gore, a twoje włosy palają jak ogień.

Winc. Oycze! a wasze włosy są tak czarne, jak czarny niedźwiedź.

Oberz. O Boże! precz z tym zeschłym krzyżem, ja go nie wezmę! Zginąłem! Już po mnie! Baranek beczy, a czarny niedźwiedź wyje! Pannie! ściśnij ten krzyż i módl się! Odkop grób i włóż mnie tam żywcem, tak jak jestem! W nim leży twój oyciec, i ja go zamordowałem.

S. Jasz—

DO MEODYCH WIEŚNIACZEK.

Pieszczoty cichéj natury,
Sielanek niewinne płody,
Wam świecą nieba lazury,
Uciechą waszą, wiek młody.

Depczecie trawki niezwrotne,
I skokiem pędzicie roki,
Nas tylko troski stokrotne,
Nas srogie dręczą wyroki.

Na łąki pędząc swe trzody
Przeplata słodycz wam życie,
Was tam wita pastérz młody,
My płacemy w smutku skrycie.

Uciechy, wiodąc was w lasy,
Dają wam przyjemne chłody,
Dla nas nieszczęśliwe czasy,
I natury skąpią płody.

Słodyczy, weydz z cichéj wioski,
Obdarz mię twoimi dary;
-Zniszcz moiego życia troski,
Niech próżnéj nie znoszę kary.
Unifantowicz.

M Y Ś L.

Jest to prawdą nie zawodną, iż im w większym udoskonaleniu są wszystkie wygody życia, tém bardziéj obraz śmierci i to wszystko co ją przypomina, jest nieznośném. W dużych miastach, gdzie oświata posunięta zostawa do naywyższego szczytu, smutny obwód, w którym spoczywają zwłoki umarłych, jest pusty i ogołocony z iestestw żyjących; u ludów zaś będących dotąd w dzieciństwie oświaty, każdy grób jest tak rzekę ołtarzem, na którym składają się ofiary uszanowania, miłości, wdzięczności, i czułych wspomnień; u mieszkańców miast oświeconych trumna jest przedmiotem wstrętu i niechęci wzbudzającym, u prostych kmiotków miana jest za naypotrzebniejszy sprzęt. Gdy jednak społeczeństwo ludzkie odstępnie człowieka, który ostatniego oddał ducha, religia płacze na jego grobie. Religia, która przywdziewa święteczną odzież w dniu, w którym uyrza światło dzienne, która naypiérwsza cieszyła się z jego narodzenia, bierze żałobę w dzień jego zgonu! Ta myśl wielce jest pocieszającą, i nayobojetniejsza musi rozczulić serce. Gdy światła-

pomina swych nawet dobroczyńców, religia płacze nad zgonem nieprzyjaciół. Ileżto filozofów strawiło życie na sarkaniu przeciw religii, świat o nich zapomni, umrą w pamięci rodziny i przyjaciół; gdy sława przestanie o nich mówić, gdy przyjaźń zamilknie, religia da się słyszeć z pieniemi żałobnemi i towarzyszyć im będzie do grobu. Jedna tylko religia przypomni sobie, że byli na świecie, agrób ich odnięty tylko odwiedzanym będzie. Ta jedna myśl byłaby

już dostateczną do wpoienia w serca nasze dobroczynnej religii, ona jest źródłem wszystkich cnót towarzyskich i domowych, ona wzbudza w nas wdzięczność, miłość i dobroczynność, ona oddala zserc naszych chęć zemsty i nienawiść, ona goi rany wszelkiego rodzaju, ona nakoniec nieodstępna towarzysza nasza od chwili przyścia na świat, przy naszym zgonie przyjmuje nas na łono swoje.

An..... Kre.....

EPIGRAMAT.

Adamie! co za płochość w sposobie myślenia,
By za iabtko się wyrzec dusznego zbawienia,
Któżby ciebie o straszne łakomstwo nie winił!
Lecz gdyby też dojrzałe piękne winne grono
Zamiast iabtki tam dla mnie w raju zawieszono,
Oy! dalibóg sam nie wiem, co bym był uczynił.

August K.....

WIADOMOŚCI dla towarzyskiego pożycia.

Ze Lwowa. — Dnia 1. Października t. r. dano w Teatrze naszym Dramat we 3. aktach z francuskiego P. Leopold przełożony, pod nazwiskiem: Zgryzoty sumienia, czyli: Niespodziane siawienie. — Dnia 5. Października dano Komediją we 3ch aktach oryginalnie wierszem napisaną, pod nazwiskiem: Duma spanoszonego. Autorem Komedyi téy jest Alexander Hrabia Fredro. Trafne charaktery, wiersz gładki i plan wybornie ułożony, stawiają tę Komediją wrzędzie najlepszych polskich, a może nawet na czele innych dramatycznych prac autora. Gdy nie tylko w Polsce, ale nawet za granicą tak mało teraz dobrych wychodzi Komedyy, dzieła Pana Fredry staną się ze wszech miar skarhem, którego i postronni czérpać będą mogli. Oto już właśnie na język niemiecki przełożoną została Komedya jego Mąż i Żona. — Co się tycze gry, P. Nowakowski w roli Geldhaba grał wybornie. — Po Dumie spanoszonego nastąpiła dowcipna Komedyo-Opera z francuskiego P. Dicułafoi, przez L. Dmuszewskiego naśladowana z muzyką różnych kompozytorów, pod nazwiskiem: Lektyka na sprzedaż. — Z drukarni Pillerowskiéy wyszło w poprzednich miesiącach dwie Komedyy przełożonych z francuskiego Moliera: Pan Fafuta i Pan Capiello. Tłumaczem iest Franciszek Kowalski. Lekka wersyfikacya i szczęśliwie w stylu naśladowana komika są zaletami tego tłumaczenia. Pan Kowalski okazał się nayszczęśliwszym z Polaków w przekładaniu tego klasycznego komedyiopisarza, obycalém z bogacił naszą literaturę! — W czasach tych nie próżnowała i Li-

tografia nasza, codzién znaczniejsze czyniąca postępy. Oprócz wyobrażeń Piotra Krauseneckera i Metropolity Antoniego Angełłowicza wydała widok rynku miasta Krakowa, a z galicyjskich okolic następujące widoki: Zamek Olesko, sławny urodzeniem Jana III., Kościół milatyński, Wieleś Telacze z pałacem, Bitkę, Klasztor w Pleśnianach, Zamek Podhorce, Wianniki, Czorsztyn, siedzibę niegdys Królów polskich, Wieleś Lacki, Nowosiółki, Krynicę, miysce kąpielami sławne, Miasteczko Skole nad Oporem, Hamernią koło Skolego, Kościół w Straczu, Zamek w Rudnikach, a celujący te wszystkie: Widok Jarmarku pod St. Józefem we Lwowie. — Muzykalia wysły następujące: Polones na fortepian, komponowany przez J. Ruckgaber i dedykowany Hrabinie Piegłowskiéy. Drugi polones także na fortepian i tegoż samego kompozytora, dedykowany Pannie Oktawii de Festenburg. Pan Mazas bawiec w naszym stolicy, wydał z tutejszély Litografii Barkarolę francuską, ułożoną na fortepian, i dedykował Hrabinie z Strzembosów Fresnelowéy. Wyszło także sześć Rotyllonów na fortepian, dedykowanych Pannie X. Ryłskiéy, przez J. Ruckgabera.

X. X.

Z Niemiec. — Pan Sieher przybył szczęśliwie do Londynu w dniu 14. Lipca r. b. z podróży około świata ze wszystkimi skarbami dla historyi naturalnéy. List datowany z d. 15. t. m. z Londynu, mówi, iż to iest pierwszy podróżnik, który bez towarzysztwa w krótkim czasie, zbiorem swoim sownie za trudę został wynagrodzony. Opuscił ón swe rodzinne miasto Pragę w d. 14. Marca 1822, wsiadł na okręt d. 20. Sierpnia w Marsylii w celu udania się do wyspy Francuzkiey, na któręto wyspie po studiowey podróży stanął. PP. Hilsenberga i Bojer swoich dwóch towarzyszy, wysłanych wpród na 6 miésięcy, nie

zastał w Madagaskarze, ponieważ ci za szlachetnym wsparciem Francuzów i Anglików tamże mieszkających, byli na dworze Króla Radama Mantsaga, w stolicy jego Tannanariwe, a doniesienia ich względem tego kraju, nie znanego jeszcze wewnątrz, ściągnęły uwagę naszego podróżnika. Po czteromiesięcznym pobyście, opuścił P. Sieber tę wyspę i udał się do Nowej Hollandyi, gdzie wyładował na brzegach wschodnich, w porcie Jakson d. 1. Czerwca 1823. Kraje te Australskie ważne przez swoją własność i plody natury, obiecał w 8 miesiącach, a ze wszystkich stron wsparły takie mnóstwo zebrał osobliwości, iż jego teskarby uważane są za największy zbiór, jaki kiedyś w każdego rodzaju był w Nowej Hollandyi przywieziony. Zabawiwszy tamże ośm miesięcy, wsiadł na okręt Borwick; przepłynął około Wulkanu Egnont, 14,000 stóp wysokości, drogą Cooka z Nowej Zelandyi do morzeni spokojnym, a po trzechmiesięcznej pomyślności żegludze pod Koncesatocią południowej Ameryki, i przykładem Horn, przybył szczęśliwie do przylądka Dobry Nadziei w dniu 8mym Kwietnia 1824 roku. — Podczas krótkiego swego trzechtygodniowego pobytu, świadczył okolicę w towarzystwie Europejczyków i innych badaczy przyrodoznawcy; był na górze zwanej stołowa, wziął zbiór swego przyjaciela Zepher, i w d. 1. Maja wypłynął z miasta na przylądku, minął wyspę S. Heleny, w kierunku ku wyspie Ascensions, opłynął Przylądek zielony i wyspy Azorskie i w środku Lipca stanął na Tamizie. Zbiór jego jest bardzo znaczny w nowo odkrytych osobliwościach natury, szczególnież we względzie zoologicznym. Był on tylko szczęśliwym w tym zaniedbanym wydziale przyrodoznawstwa między innemi wynaleźć, że Nowa Hollandya tak jest bogatą w Kanguruby, jak Koncesatoci Afryki południowej w Antylopy. Chociaż takowych zdaje się, że nie znano dawniej, jak tylko jeden rodzaj w Europie, tedy w podróży swojej wewnątrz kraju przedsięwzięty, rozpoznął 15 nowych rodzajów, z których 5 dostał i najlepiej zachowane przywiózł. Oprócz tego odkrył jeszcze 20 rozmaitych rodzajów po części nieznanych zwierząt ssących. Zbiór jego skór i ptaków, liczy kilka tysięcy, i dochodzi więcej jak 200 rozmaitych rodzajów. Oprócz tego ma amphibia, węże w wysokości winny, owady, minerały, plody handlowe, i inne ważne przedmioty; nakoniec broń, sprzęty, ubiory i t. p. z Nowej Hollandyi, Nowej Zelandyi i rzadkie przedmioty z Otahety i Tongatuhu. Okręt zwany *Patience* wiezie z Przylądka kilka skrzyń suchych roślin, owadów i skór ze zwierząt czworonożnych, lwów, lwic, leopardów, Byenn, 7 rodzajów Antylopów, między którymi jest rzadkie Knu i t. d.; wiele skór i ptaków, wiele nasion, roślin morskich i t. d. Wszystko to dom handlowy Baring Brothers i komp. w Londynie wziął na siebie obowiązek przetransportowania przez Hamburg do Pragi. Podczas swej trzymiesięcznej podróży i trzymiesięcznej niebytności w Europie, nie dostał P. Sieber najmniejszej stąbości na morzu i uszedł wszelkich nieprzyjemnych wypadków. Opuścił Londyn d. 20. Lipca i nagłony przez swych przyjaciół i krewnych pośpieszył do Pragi przez Ostendę, Bruxellę, Akwisgran, Kolonię i Frankfurt.

Z Francyi. — Choroba, na którą Król Ludwik XVIII. (wyraża Dziennik Gwiazda) umarł, była właściwie ostatnim symptomatem ciągłego od lat

kilku cierpienia. Wyższą część ciała miał Król z natury doskonale organizowaną; rozwinięcie głowy i piersi zapowiadało postać Herkulesa. Organizacja niższych członków nie była tak doskonałą; miały one wszędzie zaokrąglone formy, wiele miękkości i cokolwiek były za słabe; co jednak nie przeszkadzało Królowi w młodości, chodzić, jeździć na koniu i polować. Atoli z wiekiem nabrzmiewały członki; stały się słabszymi i bezsilnymi, a Król zmuszony był powoli obywać się bez ruchu, wyżywając przeciądkę. Tak był stan Króla, gdy opuścił Hartwell, dla powrocenia do Francyi. Do tych ułomności przyczyniły się jeszcze w ostatnich latach podagra i reuma; stąd można było przewidzieć, że Król Jegomość nie będzie w stanie oprzeć się wszystkim tym przyczynom zniszczenia. Tymczasem przedsięwzięta organizacja wyższych części, walczyła długo skutecznie ze złą niższymi członkami. Wszystko, co tylko stan Króla wymagał, zalczano, on też pilnie wykonywał; nigdy staranność nie miała bardziej widocznego wpływu na przedłużenie życia, i bez wątpienia sztuka nie była w stanie więcej uczynić bez pomocy Wszechmnenej, jak tu czyniła.

Z Londynu. — List z Londynu z d. ostatniego Sierpnia wyraża: Mechanik Perkins miał obszerne dom, gdzie ma zamiar obaczyć skutki swych parowych dział, które miał do najwyższej doprowadzić doskonałości. Początkowe doniesienia o liczbie kul, które wędrowni minucie miały być wystrzelane, były przesadne, iednakowoż liczba ta ma być dosyć znaczną i gdyby to straszne narzędzie było prężnię, musiano by zupełnie terazniejszy sposób wojowania odmienić. Dwa wielkie dzieła: nowy most londyński i droga po pod Tamizę, mają być w trzech latach skończone. Nowy dom poezyi również w tymże czasie będzie gotowy; piękna nowa ulica już istnieje. Mnóstwo nowych kościołów albo już ukończonych, albo w robocie; a wszystkie przyczyniają się do upiększenia tego wielkiego miasta, które się codziennie rozszerza. Kiedy mówię codziennie, nie jest to sposób mówienia, lecz w najszczęśliwszym znaczeniu tego wyrazu, a W Pan poymiesz, gdy mu powiem, iż przed miesiącem prawie widziałem na przedmieściu, na drodze do Brighthonu 400 domów w robocie i prawie na ukończeniu, w mieście, gdzie przed 14 dniami była jeszcze ziemia ląka. Tak się dzieje z każdej strony, i potrzeba koniecznie mieć co rok nowy plan Londynu, by w niektórych okolicach nie zaszła. Przy wszystkim tym warości, miasto jest najzdrowsze w świecie, a to w skutkach obędoństwa wszędzie zachowywanego. Większa część nowych ulic są szerokie i bardzo ładnie budowane, wszystkie mają kanały podziemne, sprowadzające plugastwo do rzeki, którą fale dwa razy na dzień płuczą, a okolice tak uprawne, że śmiecie domów i ulic chętnie są zakupowane i wywożone. Nade wszystko zwrócić należy uwagę na dostatek wody, w którą opatrzone domy i ulice, a która spływając czyszczy kanały. Aby wygody powiększyć, zamysłają sprowadzić żelaznemi rurami za pomocą parowych machin wodę morską i salażyć chęć kąpiele. Jest to przedsięwzięcie, niebezpieczne, alećwie mogące przynieść korzyści; atoli w tęg chwili, gdzie taki zbytek pieniędzy, a wysoka cena papierów publicznych mały dochód obiecuje, każdy nowy plan ma